



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

TOWARZYSTWO OPIEKI

Nad biednymi matkami i ich dziećmi.

Każde wielkie miasto jest wielkiem zbiorowiskiem ludzi, ciężko na chleb pracujących, i co za tem idzie, wielkiem zbiorowiskiem ludzi, którym tego chleba nieraz zbraknąć może, zwłaszcza gdy okoliczności wyjątkowe, gdy choroba, ręce od pracy odrywa. Przy częstym braku pracy, przy szczupłym wynagrodzeniu, trudną jest do otrzymania ta przeczna zabiegliwość, która się ze złą godziną przerwanego zarobku liczy i coś na nią odkłada; bywa też wprawdzie nieogłębność, bywa hulaszczą rozrzutność w chwilach względnego dostatku, aby się potem spotkać z nędzą, która serca ludzkie widokiem swem rozdziera. Doprowadza do tego niejednokrotnie i występki, którego ludzkość nigdzie i nigdy ze statystyki swojej usunąć nie mogła. Gdy przecież jest już niedola, jest już cierpienie—miłosierdzie, ta najwyższa cnota chrześcijanina i człowieka, nakazuje schylić się ku nieszczęśliwemu i wspomóc go, dźwignąć go tak, jak Dobry Pasterz dźwigał na ramionach swoich owcę zbłąkaną. Upadek moralny jest też nędzą w pewnej odmianie swojej, nędzą, po której w chwili cierpienia nie godzi się deptać i surowego obrachunku z nią czynić. Leczyć w złem są jeszcze stopnie; często dobroczynna litość, która winnego srogo nie odpycha, broni go od cięższego upadku i wielką zasługę przed Bogiem i ludźmi—przed społeczeństwem sobie skarbi. Matka biedna, która dla siebie i przychodzącego na świat dziecięcia schronienia nie ma, przedstawia niedolę tak ciężką, że zmiłowanie ludzkie powinno przyjść jej z po-

mocą—powinno przyjść z pomocą i tej istotce małej, która na świat przychodzi niewinna jeszcze i czysta jak anioł Boży, a już w pierwszym momencie istnienia skazaną jest na cierpienie, i gorzej—na los, który musi być łańcuchem cierpienia, jeżeli litość nie stanie między nią a surową konsekwencyą położenia, w którym na świat przybywa. Jaka jest ilość podrzutek—wiemy wszyscy i raz po raz głoszą dzienniki o jakiejś porzuconej przez matkę dziecinie, która jeżeli nie będzie zebrana z bruku miejskiego przez szczególnie dobrych ludzi, zostaje skazaną na życie wyjątkowej nędzy moralnej, bo nie należąca do nikogo, przez nikogo tkliwiej, goręcej niekochana, niesie ze sobą w świat upakarzające piętno wstydu, którym smutny przesąd czoło jej znaczy u zarania życia.

Towarzystwo opieki nad biednymi matkami pragnie zmniejszyć liczbę takich istot nieszczęśliwych; wspomagając matkę w chwili rozpacznej, wspomaga zarazem jej dziecko, bo ułatwiony obowiązek macierzyński broni przed wyrodnem opuszczeniem tego dziecka. Wszyscy wiedzą, jak silnym jest w piersiach kobiety uczucie miłości macierzyńskiej, poparte w pewnej części instynktem, który Bóg wlał w naturę kobiecą. Obecnie nawet dziecko wrzeszczy kobietę i tkliwą jakąś przychylnością w sercu jej dla siebie budzi; matka więc, jeżeli nie jest już potworem moralnym, niezmiernie rzadkim, cierpi zawsze—cierpi silnie i często przez życie całe, skoro podgwałtem ciężkich okoliczności, pod siłą uczuć sprzecznych, dziecko swoje od siebie odtrąci, rzuci je, oddając, jeżeli już nie na śmierć z nędzy i głodu, to na pastwę wszystkich smutnych następstw takiego osierocenia, które samo w sobie już jest niedolą okrutną, bo osamotnieniem najzupełniejszym. Pomoc, dana jej w chwili wyrocznej, zbawia ją zatem od zbrodni i zbrodni wyrzutów, ratuje prztem nowego członka społeczeństwa od ciężkiej doli anormalnego wychowania, więc anormalnego

rozwijania się uczuć, anormalnego potem istnienia wśród ludzi. Stowarzyszenie się w celu takiego dobroczynnego działania leżało oddawna na sercu pewnemu gronu szlachetnych ludzi; dopiero przecież w połowie roku zeszłego danem im zostało wytworzyć instytucją publiczną, która od 18 Kwietnia bieżącego roku działać zaczęła, ogłaszając swój statut i zawiązując zarząd towarzystwa.

Towarzystwo założyło sobie cel potrójny: wspierać biedne matki; utrzymywać dla tychże przytułek, który otwartym zostanie z d. 1 Lipca r. b.; wychowywać do siódmego roku dzieci, których matki z Przytułku zabrać ze sobą nie mogą. Jest jeszcze cel czwarty, wysoce pożyteczny i potrzebny miastu naszemu: urządzenie przy Przytułku Żłobka, gdzieby matki pracujące, idąc na robotę, mogły niemowlęta swoje zostawiać pod opieką odpowiednich dozorczyń, zabierając je wieczorem do domu. Ten, błogosławionej chęci projekt, został wniesiony przez Dr. Gustawa Fritsche, który czynnie i gorąco rozwój stowarzyszenia popiera, gorliwie działając w jego imię.

Do Przytułku, który będzie istniał nieopodal zbiegu ulicy Pięknej i Marszałkowskiej, zgłaszać się będzie mogła każda matka, nie potrzebując wypełniać przytem żadnej formalności, ani nawet podawać nazwiska swego. Żadne różnice położenia miejsca też mieć nie będą, i jedynym wymaganym warunkiem jest rzeczywista niezamożność, rzeczywista potrzeba schronienia się do Przytułku. Do podobnego rodzaju istniejących już przytułków zgłaszały się dla wygodniejszego pomieszczenia kobiety średniej zamożności, co przecież jest niedobrem zabieraniem miejsca, którego niema wiele, prawdziwie potrzebującym i postawionym w tych trudnych okolicznościach, które schronienie się do Przytułku koniecznym czynią.

Fundusze stowarzyszenia powstają: 1) z procentów od kapitału posiadanego, który już do-

szedł do poważnej summy 17.000 rs. i ciągle się powiększa; 2) z rocznych składek członków towarzystwa; 3) z przypuszczalnych darowizn i zapisów; 4) z mających się urządzić koncertów, odczytów i widowisk. Członkowie Towarzystwa dzielą się na trzy kategorie: 1) członków założycieli, którzy albo wnoszą na rzecz Towarzystwa jednorazowo 500 rs., albo obowiązują się wносить do kasy Towarzystwa przez lat 10 po 25 rs. rocznie. 2) Członków rzeczywistych, obowiązujących się do płacenia przez trzy lata z rzędu po 25 rs. rocznie. 3) Członków ofiarodawców, płacących rocznej składki rs. 5.

Zarząd Towarzystwa składa się z Rady Opiekuńczej i Komitetu Gospodarczego. Radę opiekuńczą stanowią: Emilia Blochowa, hr. Julia Branicka, Julia Górska, Henryka Kucharzewska, Stefania Leowa, Marya Łempicka, hr. Hortensya Małachowska, hr. Maxymilianowa Małachowska, Ewa Popielowa, Marya Zawiszyna; panowie: Stanisław Brun, Dr. Gustaw Fritsche, Alexander Goldstand, Ludwik Górski, ks. Stefan Lubomirski, hr. Konstanty Przędziecki, Stanisław Przystański, dziekan uniwersytetu, Stefan Spiess, Karol Szlenkier, hr. Tomasz Zamojski.

Na przewodniczącą w Radzie Opiekuńczej, wybrano hr. Hortensyą Małachowską.

Komitet gospodarczy składają panie: Marya Wrotnowska, Marya Kozłowska, Marya Olszewska, panowie: Dr. Wacław Horoch i hr. Felix Grabowski.

Ponieważ na zasadzie ustawy towarzystwa komitet gospodarczy nie może załatwiać żadnych kwestyi bez upoważnienia Rady Opiekuńczej, a ta, złożona z dziesięciu osób, nie zawsze zebrać się może w komplecie prawomocnym, zatem ustanowiono delegacyą, któraby mogła rozstrzygać w kwestyach pilnych i zaproszono do niej sześć osób, panie: Blochową, Leową i Zawiszynę, oraz pp. Fritsche, Goldstana i Przystańskiego. Delegacya zbierać się będzie na posiedzenia co tydzień, aby zarazem odbywać narady wspólne z komitetem gospodarczym.

Z posiadanej przez Towarzystwo kapitału, postanowiono złożyć w Banku Dyskontowym 12.000 rs. jako fundusz żelazny, który już zwiększonym być nie może. Ponieważ projekt Dra Fritsche'go co do otwarcia żłobków dla dzieci robotnic, całodziennie pracujących za domem, został przez Radę Opiekuńczą przyjęty, uproszono zatem projektodawcę, aby, obeznawszy się na podstawie dzieł odpowiednich z organizacją żłobków za granicą i u nas, opracował w kwestyi tej dla użytku Towarzystwa stosowny memoriał, wraz z wnioskami swemi co do czasu i sposobu zaprowadzenia ich w Warszawie.

Daj Boże, aby ta rzeczdobrastała się co najprędzej, aby Żłobek mógł zacząć funkcjonować wraz z otwarciem Przytułku, który według obrachowań Towarzystwa, może w roku pierwszym przyjąć w mury swoje około 200 kobiet. Odliczywszy na dzieci nieżywe i śmiertelność w pierwszym tygodniu 12—15%, co jest liczbą otrzymaną w Warszawie na drodze doświadczenia, pozostanie 140 dzieci. Ile z tych niemowląt matki zechcą zostawić w Przytułku na wychowanie? przewidzieć trudno. Zważywszy jednak, że w istniejących już przytułkach warszawskich $\frac{3}{4}$ matek ubogich posiada własne ogniska domowe i mężów, można zatem liczyć, że najmniej połowa matek zabierze dzieci ze sobą, zatem Towarzystwo będzie miało na opiece swojej około 70 niemowląt, które zostaną oddane do wykarmienia na wieś, gdzie przeciwie czujna troskliwość Towarzystwa, nietylko pójdzie za nimi, ale usilnie starać się będzie o utrzymanie stosunku między matkami a dziećmi, które w ten sposób nie staną się opuszczonymi sierotami. „To rozniecenie miłości macierzyńskiej, to doprowadzenie do gorącego żaru małej iskielki, złożonej w sercu każdej, choćby wyrodnej matki, musi wywrzeć wpływ błogi na duchowy stan upadłej nawet kobiety i powstrzymać ją może na pochyłej drodze“.... píše Dr Fritsche w sprawozdaniu z działalności Towarzystwa, zamieszczonym w „Kuryerze Warszawskim“ z dnia 27 Kwietnia, a widzimy z tych słów pięknych, jakie są moralne ideały Towarzystwa, jak dźwigając nędzę, zamierza ono zarazem

uszlachetniać ją i podnosić, udostajniać na duchu. Towarzystwo objawia też za pośrednictwem Dra Fritsche'go, że będzie istnieć pomiędzy niem a ubogimi, nieszczęśliwymi kobietami pewna łączność, że Towarzystwo rozpościerać będzie nad temi nieszczęśliwymi opiekę, udzielać im w miarę funduszów zapomóg pieniężnych w chwilach, gdy praca jest już niemożliwą, a przy małym zarobku ich samych, lub mężów i zapasów też być nie może. Przegarnięcie ich następne przez Przytułek uzupełnia dobrodziejstwo, świadczone zarazem dwóm istotom ludzkim, które nietylko materialnie ratuje.

Ponieważ zarząd Towarzystwa, działając według określonego wyżej programmatu, ma przed sobą zadanie bardzo pracowite, postanowiono więc zaprosić do współdziałania pewną liczbę opiekunek i opiekunów, a ich zadaniem będzie dostarczanie bielizny, odpowiednie lokowanie dzieci, opieka nad nimi, i tem podobne czynności, od których starannego i sumiennego wykonywania bardzo wiele zależy, aby Towarzystwo dopięło w całości swoich dobroczynnych i szlachetnych celów. Że dobrych chęci nie braknie, jak ich niezbrakło u nas nigdy, gdy coś uczciwego spełniać zamierzano, w to wierzyć można; daj tylko Boże, aby się znalazła ta wytrwałość, która jest ich kamieniem probierczym i wykazuje co tu jest owocem, nie przemijającej wrażliwości, ale prawdziwego uczucia, uczucia ludzkości i miłości bliźniego—co tu jest poczuciem się do tego obowiązku społecznego, który nakazuje wyższemu i szczęśliwsiemu schylić się przed tym, co postawieni niżej, biedni są i ciemni, narażeni na tysiące prób ciężkich, zmęczeni życiem twardem i pozostawieni o własnych siłach, od zarania życia, gdy innych, lepiej przez los uposażonych, otacza od kolebki do dojrzałości rozumu, tkliwa i przeciw złemu obrona staranność.

Redakcyja naszego pisma przyjmować będzie chętnie składki i pośredniczyć w zapisywaniu się na członków Towarzystwa, zdając następnie stałe sprawozdania z jego działalności i rozwoju.

M. Ilnicka.

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

Listy jej do rodziny i przyjaciół.

Czem tło dla odbijającego się na niem posagu, tem względem dzieł Narcyzy Żmichowskiej (Gabryelli) jest korespondencya, w której kobieta szlachetna, rozumna, czysta jak łąza—wielka umysłem, a święta sercem, występując na jaw, wykazuje się nie niższą od pisarki. Wyszły dwa grube tomy jej listów, do rodziny i przyjaciół pisanych, są najpierw, biorąc je same w sobie, rzeczczą wysoce piękną i niemniej niż jej dzieła, do druku przez nią przeznaczoną, wielkiego, pociągającego blasku słowa i wartości literackiej, ale stanowią zarazem jakgdyby podkład, na którym widzimy wydatnione wszystkie rysy jej natury moralnej, doskonałą zgodę jej przekonań osobistych, jej życia całego w rodzinnych i obywatelskich jego stosunkach ze zdaniem głoszonemi przez autorkę. Jak postacie przez jej pisarski artyzm stworzone są w poetyczności swego ustroju podniosłe i szlachetne, tak wszystkie jej czyny wszystkie jej myśli, w praktyce życia wygłaszane, są równie podniosłe i szlachetne, ku podniosłym i szlachetnym celom zawsze skierowane i innych skierujące. Sofizmat Balza'ca, że niema wielkiego człowieka dla jego lokaja, wobec Żmichowskiej bez potrzeby zbijania go upada, bo od najmniejszych do największych, wszyscy, którzy się z nią bliżej stykali, czcili w niej musieli obywatelkę i kobietę bez skazy—człowieka budzącego szacunek i uszanowanie, uczciwego człowieka bez żadnej wady niskiej. Natura była namiętna, ogniasta, ale zapalająca się tylko do rzeczy pięknych i wysokich, a takim wstrętem istot prawdziwie

szlachetnych przejęta do małości, do lichości, a zwłaszcza do rzeczy brudnych, że nigdy jej ręka nie spotkała się z ręką nieczystą. Mogła być, jak każdy człowiek, niekiedy w błąd wprowadzana, ale to już było hołdem jej zacności składanym, że jeżeli ci, co pożądati zbliżenia się do niej, poczuli się w sumieniu swoim do jakiejś notki niedobrej, usiłowali zakrywać to troskliwie, przebierając się w suknie nowe; bywało, że w obywatelskich ofiarach, w czynach ucziwej ludzkości prano plamy dawne dla zaszczytu przystępu do niej.

Nieraz też nazywano ją surową, ale nie—listy jej wykazują, jakie zasoby uczucia, dobroci, tklivosti kobiecej, były złożone w tem sercu pięknem, jak umiała kochać i poświęcać się jako siostra, jako krewna, jak była tkliwą w przyjaźni, jakie liczne grono kobiet—wyższych, szlachetnych kobiet, otaczała ją, Kochając gorąco, z uwielbieniem. Nie była surową, bo nie było w jej duszy nic z pierwiastku surowości, ale była wymagającą, jak każda natura niepospolita. Ideał jej był wysoki i nie mogła też spokojnie przystawać na małość, na nizkość; lecz, jeżeli miała kiedy surowe brwi zmarszczenie, jeżeli kiedy chłostała, to tylko tę małość, tę nizkość, której się wydała, że jest wielkością i wysokością, a odwracała się już dumnie, odgradzała się już wyniosłe, od takich, co, nie mając dostatecznej godności ducha, aby się bez plamy na charakterze, bez niskich skaz na życiu utrzymać, chcą spokojnie dzielić sobie życie na jego wyższe i niższe porządki. Sama, jak z jednolitej bryły marmuru, taka w słowie jak w czynie, mogąca zawsze mieszkać jak Rzymianin w kryształowym domu, nie przystawała na dwoistość Janusowego oblicza u ludzi, nazywała to po imieniu: fałszem, hipokryzyę i w człowieku ceniła przede wszystkim stronę moralną, wynosząc ją ponad wszelkie zdolności, talenta, ponad inteligencyą najświetniejszą. Tem nikt jej nie przekupił, i stawiła też głośno *velo* swoje przeciw zdaniu: „wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć“. Rozumiała wszystko i dlatego właśnie nie przebaczała wielu rzeczom, bo kładła to za najwyższy obowiązek człowieka, aby drogę swoją pod górę, nie w dół zwracał.

Dobra wola, choćby najnainiejsze dążenie ku ideałom szlachetnym, ale przy umyśle maluczkim podbijało ją sobie i nigdy nie była w takich razach pogardliwą. Pisując do przyjaciółek, pozdrawia ich służące. Pisząc do Wincentyny Zabłockiej w dzień jej imienin, a pisząc z wielkim wzruszeniem serca, bo ta dawna i dobra jej przyjaciółka, była wtedy bardzo już słabą, tak list kończy:—„Moja ty droga, moja smutna, moja razem ze mną za braćmi tęskniąca, moja razem ze mną wiedząca, jak dawniej było—żegnaj mi do widzenia! Pozdrów też twoją Marysię i powiedz, że jej imienin twoich wieszczę.“

O swoich służących w listach nieraz wspomina i to bynajmniej nie jak o narzędziach jakich, do dobrobytu, do wygody życia potrzebnych. pZ Kasią swoją, która jej w czasie lubelskich krzyżów pocziwie służyła, kresliła krzyżyki na dr wiach i koła na dywanie, które ją miały od złego bronić, i opisywała to ze wzruszeniem w liście do „najserdeczniejszej swojej“, do Anny Skimborowiczowej, a potem w lat wiele, bo w 1867 r. pisała o tej „Kasi pocziwej“, do brata Erazma, że ją ma znów u siebie:—„moją Kasię, z którą zapoznałam się i zaprzyjaźniłam“ w Lublinie. Kasia ta wyszła za męża, i to, jak opisuje bratu, rozłączyło je; ale owdowiała i wróciła, a ona pisze: „Zeszliśmy się znowu i trzymamy się“

Tylko z tem, czego szanować nie mogła, „nie zaprzyjaźniła się“ też nigdy. Wliście do tegoż brata Erazma, pisanym również w 1867 r., czyni takie wyznanie wiary pod względem sympaty swych do ludzi:—„Mam szczególniejszy pociąg do gatunku ludzi szlachetnych i dobrych, nie w znaczeniu doskonałości, ale w znaczeniu zwykłej dobroci—dobrych. Takim ludziom przeciwie, choćby mieli wyższe zdolności umysłowe, zawsze trudniej przepchnąć się przez tłumy; dlatego też bardzo a bardzo cenię energię, rzutkość, obrotność, lecz cóż na to poradzę? tylko do szlachetności i dobroci mam pociąg prawdziwy“.

Tylko do szlachetności i dobroci! Że jednak

Nie dziw więc, iż się garnęli do tego dworu, a dostęp doń bywał trudny. Ciekawa tedy rzecz, wiedzieć, w jaki sposób pan Tomasz wziął się do tego, ażeby, przezwyciężając one trudności, biednym sierotom swojego krewniaka, Justkowi i Zosi, bez parenteli i protekcji, akces do świetnego dworu ułatwić?

Przebiegły prawnik zrećźnie wziął się do rzeczy, a czas potem obrał sposobny, bo przedsejmowy; potrafił skorzystać z okazji, aby na rzecz sierot poruszyć strunę *magnackiej popularności*. Zbliżał się sejm, na którym takiemu magnatowi, jak wojewoda, wicherzającemu *in materiis status*, wiele zależało: trzeba było spieszyć z zatarciem rozmaitych kondemnatów, pomiędzy którymi sprawa dość krzycząca z Czeczotkami trzymała niepoślednie miejsce — ulokowanie zaś na dworze Justka i Zosi zamykało niechętnie gęby, kiedy tymczasem adherenci gardłowali:

„Dobry pan! przygarnął do swojego dworu sieroty szlachcica, który mu się opponował i okoniem stawiał.”

Lecz jeszcze nie na tem koniec, aby się dostać do dworu; dostawszy się bowiem, trzeba było przechodzić rozmaite gradacje i szczeble tej drabiny dworskiej, jakimi np. dla dziewcząt były: szwalnia, haftarnia, gotowalnia, garderoba, zanim się można było wy dostać na najwyższy szczyt panny pokojowej czyli respektowej — do czego bezwarunkowo wymagano pięknej powierzchowności, gładkich manier, dobrej prezencji i wielu t. p. zalet. Dlatego dziewczęta, nim doszły do tego najwyższego szczebla, musiały się wpród kształcić w manierach, konwersacji, tańcu, a mające zdolności potemu, w muzyce i śpiewie, grywały na gitarze, cytrze, harfie, niektóre nawet na klawikordzie, mniej jeszcze rozpowszechnionym podówczas.

Tożsamo stosunkowo obserwowało się co do dworzan. Odbywali oni wpród nowicyat przy łowach, w milicyi, kancelaryach, nim się dostali na pokoje; musieli wpród wyćwiczyć się w fechtunku, konnej jeździe, tańcu, a nabrać zręczności w różnych kawalerskich praktykach.

Nasi młodzi byli pod tym względem szczęśliwsi; wyjątkowy bowiem powód przyjęcia ich do dworu dla oka ludzkiego i popularności pańskiej sprawił to, iż oboje, przeskakując szczeble hierarchii dworskiej, odrazu się na pokojach znaleźli.

Wszakże dla Justka i Zosi pominięcie onego dworskiego nowicyatu nie przedstawiało trudności, albowiem, oprócz protekcji wuja Tomasza, sami się doskonale zalecali.

Justek był zwinny i zręczny z natury; od dzieciństwa harcując po górach z dzikimi kozami, rozwinał siłę masykularną; a w collegium, bijąc się w palcacy, rychło się w fechtunku wydoskonalił, do konia jakby przyrósł, a nakoniec, jako celujący uczeń poetyki, umiał z każdym stosowny dyskurs poprowadzić, w razie zaś potrzeby z księdzem lub jurystą wyjęzyczyć się i polaćnie.

O Zosi dość powiedzieć, iż Bóg jej dał tyle w niepospolitej krasie i gładkości, iż mało co od ludzi przelimitować potrzebowała, a już od pierwszego dnia zjawienia się na dworze ściągnęła na siebie admiracyą całej płci męskiej i zawiśnięcie niewieściej.

Wszakże pomimo łaski pańskiej i przychylności całego dworu, jakie przez krótki pobyt młodzi zjednać sobie potrafili, smutno im było na tym wielkim dworze, bo chociaż znajdowali się oboje pod jednym dachem, utracili jednak dawną swobodę ciągłego ze sobą przebywania, czemu rygor zachowywany na dworze wręcz się sprzeciwiał. Samo urządzenie dworu nie sprzyjało temu przyzwyczajeniu, gdyż gwoli przystojności, jakiej tam przestrzegano, cała przestrzeń długiego pałacu oddzielała dworzan od fraucymeru. bo gdy pierwszy mieszcili się na jednym skrzydle, pod wyłącznymi rozkazami marszałka dworu, którym był pan Stolnik Złoczowski Berżański, fraucymer zupełnie na przeciwnym końcu znajdował się pod zawiadywaniem ochmistrzyni, panny wojszczanki Zawigielówny, już dobrze podeszłej w lata dzieciwicy.

Jak tam, tak i tu *decorum* ściśle było zachowywane; zresztą sam porządek codzienny wszelkie-

mu zetknięciu się dworzan z fraucymerem stał na przeszkodzie: dworzanie, krom dyżurowania na pokojach, dzień cały byli zajęci rozmaicie, z samego rana koniecznym exercyrunkiem, czy-to konnym czy pieszym z milicyą, następnie fechtunkiem, rajstzulą, nauką tańca; uzdolnieni ku temu pracowali w kancelaryach ekonomicznych i u rachmistrzów.

Panny, oprócz obowiązkowych lekcji tańca i muzyki, uczyły się robótek kobiecych i haftu; na wytchnienie zabawiały się przy ochmistrzyni czytaniem ksiąg pobożnych i moralnych; dla ruchu miały osobny ogródek, wysoko i szczelnie oparkaniony, do którego nietylko dostęp, ale i zbliżenie się było surowo wzbronione dworzanom pod karą.

Ale kiedy się o karach zmówiło, więc warto nadmienić, że wszelkie przekroczenia przeciw moralności i przystojności w zachowaniu się względem płci innej sprowadzało na dworzan bez ceremonii karę *more antiquo, na kobiercu*... panienki zaś, jako płeć pieszczona, ulegały postom, zamknięciu, rekolekcjom, wdziewaniu bluzy z szarego płótna, a nakoniec martyfikacji pobożnej, której najwięcej się obawiały: odmawiania dziesięciu części różańca, godzin, litanii, w przytomności pobożnej ochmistrzyni, podczas tego klęczeć musiały na grochu.

Surowość klauzury i kar sprawiła to, iż od kiedy dwór dworem, o żadnym skandaliku pomiędzy dworzanami i fraucymerem myśl nawet nie powstała. Jak jedni, tak i drugie co dzień obowiązkowo słuchały Mszy św., lecz panienki w pałacowej kaplicy, a chłopcy w kościele OO. Bernardynów. Jedyne zbliżenie się miało miejsce w Niedziele i uroczystości, kiedy państwo w otoczeniu dworu przybywali na nabożeństwo paradnie do kościoła OO. Bernardynów; ale i wtedy ściśle przestrzegano, aby dworzanie i panny stawali po dwu przeciwnych stronach; każde zaś najniewinniejsze rzucenie okiem, w lot schwywane przez czujnych cerberów, marszałka i ochmistrzynię, sprowadzało, co komu należało, *kobierzec* lub *groch*.

Ztąd się zdarzało, iż często, po kilkunastu latach przebytych na jednym dworze panny z dworzanami byli sobie zupełnie obcymi. Jedynym punktem zetknięcia się były assamble na pokojach za przybyciem gości, tańce popisowe razem wykonywane, przy których jeszcze konwersacja była wzbronioną, lub wspólny dyżur dworzani na przy panu, a panny przy pani, kiedy razem z państwem zasiadali do stołu; lecz i tu argusowe oczy wszędzie rygoru i przystojności przestrzegaly.

Wyjątkowy ratunek z osamotnienia dwojga młodych Justka i Zosi, był w owych dyżurach, które im jednocześnie przypadaly — czy to dlatego, iż razem na dwór przybyli, czy może z protekcji patrona, który, chociaż teraz jedynie sprawę trybunalskie wojewody prowadził, jednak swoją influencyą na dworze zachował, i z łaski tej Justek z Zosią mogli niekiedy oględnie spojrzeć lub słówko zamienić. Nie wystarczało to może swobodnym dzieciom natury i prostym skał mieszkańcom, ciążyła owa dworska etykieta; atoli „wiele ten czyni, kto musi“, a z czemże się człek nie oswaja?

Wszakże bożek miłości czuwał nad rozmiłowanymi, bo i rok nie minął od pobytu ich na dworze, kiedy na jednej z uroczystości dworskich Justek z Zosią przed licznie zebraną kompanią produkując się w jakimś tańcu salonowym, ogólny applauz uzyskali; nadto Zosia niepospolitą krasą zdobyła ogólną admiracyą; dostojniejsze matrony udarowały ją precyozami, sama pani dała jej piękne stroje ze swej szatni, a Justek dostał od wojewody pas perski i sto czerwonnych złotych.

Trudno dziś rozwiązać pytanie: czemu zawdzięczali młodzi taki rychły sukces i łaskę pańską? — czyli własnej zręczności i nieporównanym wdzękom Zosi? lub może, iż gwałt, dokonany na starym Czeczotce, ciążył państwu na sumieniu, a w przedsejmowej porze i wobec ciężkiej choroby panującego króla, tając rozmaite ambitne widoki, chcieli go w pamięci szlacheckiej jako tako zasmarować?

najprędzej i jedno i drugie; ale koniec na tem, że młodzi z tego skorzystali, bo Justek został rekodajnym wojewodziny, a Zosia tak zwaną „panną kompanką“.

Dwa to były najwyższe stopnie do osiągnięcia dla młodych ludzi: rekodajny bowiem z urzędu swojego był nieodstępny od pani, powinnością jego było być na pokojach na każde zawołanie, a w razie wyjazdu pani w paradnym strojujechał konno przy kolebce, a nim się ona zatrzymała, musiał zrećźnie zeskoczyć z konia, którego jadący za nim hajduk chwycił, i podać ramię, żeby się pani u niego wsparła, wysiadając; musiał również dawać baczenie, żeby suknia lub trzewik nie zawałyła się o brudny stopień kolebki; w kościele, kiedy pani przykłękała dla adoracyi Najśw. Sakramentu, on miał zrećźnie podrzucić poduszkę; w ławce rozłożyć bogatą książkę od nabożeństwa na stosownej modlitwie — słowem, wszystkich wygod i przyzwyczajęń pani ściśle przestrzegać. Już ze swojego stanowiska taki rekodajny wychodził z bezpośredniej władzy marszałka, sam niejako będąc zbliżoną do dworskiego słońca figurą.

Sama nazwa „panny kompanki“ — jakbyśmy podzisiejszemu, zakatarzeni francuzczyzną, powiedzieli: *démoiselle de campagne* — wskazywała charakter tego obowiązku, wymagającego nieodstępnej bytności przy boku pani; razem z nią zajmowała się rozmaitemi robótkami kobiecemi, lub głośnem czytaniem, kiedy pani drzemała. Jej obowiązkiem było bawić świecką konwersacyą przybywające osoby, którym etykieta dworska nie dozwalała rychłego przystępu do pani.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XLVIII.

Towarzystwo artystów scenicznych meiningeńskich, na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie. Pojęcie sztuki pełnej i charakterystyka trupy niemieckiej. Nowy kierunek dramaturgii wykonawczej. Wprowadzenie rzeczywistego „ludu“. Przedstawienie *Juliusza Cezara* Shakespeare'a i trylogii szyllerowskiej *Wallenstein* w d. 10, 11 i 12 Maja r. b.

Słynne na całą Europę towarzystwo teatru nadwornego w Meiningen w podróżach swych artystycznych zawitało i do Warszawy, poprzedzone sławą wykonywania *całości* sztuk w sposób przedtem niebywały. Warszawa nie zawiodła się na tej sławie; takiej sztuki scenicznej nie widzieliśmy dotychczas na partykularzu naszym. Artyści niemieccy dali nam zupełną nowość. Widzaliśmy przedtem znakomite role, wykonywane przez własne nasze i przez obce siły, ale nie widzieliśmy nigdy znakomitej całości, ilekroć szło o jaki dramat większy, o sztukę klasyczną nowożytnego świata, nie o komedyą tegoczesną. Meiningeńczycy dopiero pokazali nam, jak się wykonywa *całe* sztuki. Całością w sztuce scenicznej nazywa się, nie summa wszystkich ról, ale summa wszystkich sił i warunków, wszystkich żywiołów prawdy zmyślanej na scenie. Do liczby tych żywiołów należą poza obrębem ról indywidualnych: najpierw gromada, tłum, lud, wszystko, co się w jednej postaci nie zosabia; następnie natura fizyczna, której takie a nie inne przejawianie się sztuka przypuszczać każe; dalej, otoczenie, jakie daje ludziom i wypadkom, ośrodek ich cywilizacyjny, cała cywilizacja materyjalna danej epoki; wreszcie porządek w rozwijaniu się wypadków na scenie w sposób naśladowujący tę niestrudzoną ustawiczość, z jaką życie prawdziwe wyrzuca z siebie fenomena jedne po drugich, nie cierpiąc nigdy próżni i nigdzie spoczynku — bo i spokój jeszcze i cisza w potoku życia napływa jako fakt zjawisko, moment wyodrębniony z całości czasu. Wszystko, co zrobić może prawdziwy poeta, co wiennie wykona przez poetę nawet porwany artysta, nie da jeszcze całości sztuki, nie da pełnego jej życia. Do pomocy poecie i

artyście przyjść musi doskonały reżyser, wyborczy dekorator i mechanik; a nawet maluczki lekceważący statysta może być dobrym lub złym sprzymierzeńcem poety i artysty dramatycznego. Wtedy dopiero, kiedy wszyscy ci działacze dążą skutecznie do wytkniętego celu, sztuka sceniczna występuje w całej swej pełni.

Czy takie naśladowanie życia, nietylko w duchowej jego treści, ale i ze wszystkimi zewnętrznymi formami, niezbędnym jest dlatego, aby poezya namiętności i woli, istotę sztuki stanowiącą, wypromienić się z niej mogła? Niekoniecznie; ale my, ludzie dzisiejsi, realisci *par excellence*, zepsuci przez malarstwo rodzajowe, słowne i pędzlowe, przez powieściopisarstwo historyczne, przez witalistyczne usposobienie umysłów naszych—my, dopatrujący się na każdym obliczu piegów i zmarszczek, szukający we wszystkich tłumach poza jednostką, epoki poza chwilą, materyi poza duchem, warunków, w jakich się objawiało życie, poza życiem samym—my, dzieci wieku naszego i mądrości naszej: wtedy dopiero zadowoleni jesteśmy z obrazu życia, kiedy je z całym jego mechanizmem przed sobą ujrzymy, kiedy nam sztuka pokaże, nietylko jednostki w ludzkiej i historycznej swej prawdzie rzetelne, ale i samą tę ziemię, po której stąpały, ten przestwór, który je obejmował, to powietrze, które się im w płucach paliło,—cały ten społeczny, cywilizacyjny i fizyczny ósrodek ich przejawu i działalności. Taką właśnie pełnością, takim złudzeniem prawdy darzy nasz sztuka Meiningeńczyków. Minęły już dziś czasy, kiedy ludzie zachwycali się teatrem, w którym np. Teby lub Illiryę oznaczano literalnymi napisami, kiedy w podobny sposób odróżniano ogród od morza, kiedy pomiędzy dekoracją dla komedii a dekoracją dla tragedii jedyną różnicę stanowił kolor płachty zawieszanej w głębi sceny, kiedy świeca odgrywała rolę księżycy, kiedy smok wymalowany na desce przez miejscowego organistę w celach teologicznych wyobrażał całe piekło, kiedy wreszcie dwóch lub trzech drabów pełniło funkcję całej armii. Wszystko to już niepowrotnie minęło. Jak nie moglibyśmy dziś już słuchać mężczyzny w roli kobiecej, tak nie zdołamy sceną dośpiewywaną przez wyobraźnię zastąpić sobie sceny nacośnie widzianej. Nie znieslibyśmy dziś już widoku artysty zamaskowanego; taksamo z niechęcią patrzyliśmy na zamaskowane przez reżysseryją otoczenie artysty. Co się maluje w wyobraźni naszej, malować się też powinno i na scenie; czego umysł potrzebuje lub pożąda, to oko nasze zaraz w widomych kształtach ze sceny chwycić pragnie.

Oczywiście, że taka sztuka sceniczna, dająca pełnię form życiowych, ma przed sobą najobszerniejsze pole i najważniejsze zadanie przy wystawianiu utworów, bądź ściśle historycznych, bądź też w mgłę tylko przeszłości rzuconych. W dramacie też historycznym Meiningeńczycy celują, i tu się przejawia najdobitniej wyższość ich nad wszystkie sceny średnie, do rzędu których i nasza należy. Dążeniem ich stałem, przy każdej nowo-wystawianej sztuce, jest odtworzenie wierne całego ciała przeszłości, w które duch dopiero według siły talentów indywidualnych z większą lub mniejszą potęgą wstępuje. Staranność o tłum i lud, o dekoracje, o mechanizm, o kostiumy, o całą stronę fizyczną widowni, na której role mają być grane, stała się dla tego stowarzyszenia ludzi—odnoszących więcej moralnego zadowolenia, niż materialnych zysków,—kanonem zasadniczym tej sztuki scenicznej, tej umiejętności, która własną swą siłą wyodrębnia się od sztuki dobrego wykonywania ról. Głównym ogniem ogrzewającym tę umiejętność, jest wszechstronna, myśląca, szczerze artystyczna reżysseryja. Reżyser jest u Meiningeńczyków prawdziwym *spiritus rector*,—duchem rządzącym sztuką. On obejmuje całość utworu, rozbiiera go na części, wszędzie pod ideał poety podściela rzeczywistość, całą utajoną w dramacie zewnętrzność, jako tło faktów duchowych na jaw wyprowadza. Całość jest dla niego wszystkim; pojedyncze role, choćby najlepsze, nie zdołają pokryć ułomności w uzewnętrznieniu utworu. Sztuka nie będzie dopóty doskonale wykonaną, dopóki nie będzie miała

dobrych kostiumów, maszyneryi, dekoracyi—dobrego tłumu.

Poza obrębem dramatu historycznego do pięknych dekoracyi, do mórz ułudnie falujących, do wspaniałych księżyców i słońc, do nie-warszawskich, nie kalchasowych grzmotów i nie-learowskich piorunów, przyzwyczaili nas już przedtem opery pierwszorzędne, za przykładem paryżkiej; Angliacy umieją sztuki swoje wystawiać z całą dokładnością i przepychem prawdy: ale co wydało się nam zupełną nowością i wyłączną dotąd zasługą Meiningeńczyków, to wytwarzanie prawdziwych tłumów, prawdziwego w nich ruchu i życia, i wyborne niemi kierowanie. Na ten punkt wyteżamy szczególniejszą uwagę, w przekonaniu, że takich tłumów żaden jeszcze teatr przed Meiningeńczykami nie miał i nikt przed nim tłumom tak dotykającego znaczenia na scenie nie nadał. Tu występuje, już nie kupa manekinów ubranych w wyszarzane płachty lub brudne zszywki, figurantów chętniej rozdziawiających gęby, gdy nie potrzeba, niż poruszających rękami, gdy trzeba, ale istotna gromada, wielki człowiek, istota zbiorowa, indywidualność z żywiołów różnych złożona, albo wyrażająca nazewnątrzną pewną jednolitą namiętność i wolę wspólną, jak w *Cezarze*, albo mieniąca się połyskiem różnych barw duchowych,—według rozkazu poety. Tu już nietylko owa zewnętrzność, bez której poezya sama mogłaby się snadnie obyć, ale istotna treść dla poezyi niezbędna stanowi prawdziwą zdobycz tej nowej sztuki scenicznej. Lud przez Meiningeńczyków wytworzony pozostanie już jako ideał każdej dobrej reżysseryi, każdego wykształconego widza.

W samym urządzeniu sceny przez Meiningeńczyków dostrzegliśmy jedną oryginalność, bardzo korzystną. Wnętrza sal, w scenach niewymagających wielkiej przestrzeni towarzystwo niemieckie urządza, wbrew uświęconemu zwyczajowi, nie z pomocą kulis tworzących dwie równoległe ściany boczne, i dekoracyi nawprost widza, ale w taki sposób, że widać tylko połowę sali oznaczoną przez dwie ściany ustawione ukośnie do zrębu sceny, druga zaś połowa idealnie zachodzi na salę widzów, którzy przez to znajdują się jakby na widowni działania. Dekoracje są wykwinem wykończenia; nasze dekoratorstwo powinno być na naukę do Meiningen, do nadsławnych malarzy braci Brücknerów. Widok Forum Romanum w *Juliuszu Cezarze* wykończeniem malarskim zadawalnia nawet takie artystyczne wymagania, jakich nie zwykliśmy stawiać malowidłom gwaszowym, dziełom grubego zawsze pędzla. W *Smierci Wallensteina* wielka sala III aktu odtwarza rzeczywistą strukturę pałacową XVII w. Nadzwyczajną staranność kazała tutaj dodać, już nie malowane, ale rzeczywiście wyrzeźbione, wspinające dwupiętrowe odrzwia, jakie sam styl wieku narzucał. Stroje wszystkie, całe uzbrojenie Ludu Rzymskiego, zdaniem znawców, nie było konwencyonalnym tylko przypomnieniem pompierów paryżkich, ale historycznie dokładnym, a przez odmiany powabnie urozmaiconym odbiciem historycznych form przeszłości. Żaden chyba inny teatr nie mógłby przedstawić takiego *Obozu Wallensteina*, jakimy teraz widzieli na scenie Teatru Wielkiego. Było to prawdziwe malarstwo rodzajowe, dokonane z pomocą żywych postaci, żywego ruchu i słowa. O bogactwie ubiorów żołnierskich wyobrażenia nawet mieć nie mogła nasza biedota teatralna, do baletu jeszcze tylko jako tako szczęśliwa. A jak ten tłum obozowy falował, jak wrzał ustawicznie, kołyszając się, może ponad konieczną miarę, dla wytworzenia tła niezbędnego dla naiwnych rozumowań i szorstkich wynętrzeń tych wszystkich dragonów, kirassyerów, trębaczy i wachmistrzów! W akcie III *Smierci Wallensteina* wstrząsające wrażenie uczyniło wejście i ustawienie się dziesięciu kirassyerów papenheimowskich. W akcie IV *Piccolomini* uczta była najwspanialszą, jakąśmy kiedykolwiek widzieli na scenie. Od dekoracyi zacząwszy, skończywszy na zastawie stołu, wszystko imponowało oczom. Nic doskonalszego w tym rodzaju pomyśleć nie można. W *Cezarze* potężnie wyszły sceny ludowe w przysionku Pompejusza i na Forum Romanum, a lud był w nich rzeczywistym, jakby jednoosobowym, aktorem. Scena przedstawiała

jedno rojące się mrowisko. Nic tu spokojnie nie stało; statysci grali; ciągłe rozmowy gestami i grą mimiczną, szmerem i wyrzwaniami się okrzykami oznaczane; namiętność istotna, żywa, taka, jaka być musiała; życie odgadnione i ujęte w kleszcze owej umiejętności, która, nie będąc sztuką w podniosłym jej znaczeniu, okazała się jednak szlachetnym bardzo kunsztem naśladowczym. Sceny na Forum i biesiada u Wallensteina zjednały szczerze a powszechne oklaski reżysserowi obecnemu towarzystwa meiningeńskiego, p. Chronegkowi.

Jedna tylko bitwa pod Philippi, nawet przy takiej wystawie i takiej reżysseryi, jakie współdziałały z artystami w *Cezarze*, nie dała pożądanego dla dzisiejszych oczu złudzenia. Jest-to już może właściwość bitew odgrywanych, że wyglądają zawsze mizernie i nie sprawiają nawet wrażenia epizodów. Za błąd reżysseryi uważamy uszczenienie kaznodziei kapucyńskiego w *Obozie Wallensteina* w sposób psujący kreacją szylkrowską. Pocziwy rubacha zmienił się tu w śmieszego pajaca. Mimowoli wyjrzało szydło z worka; krytycyzm protestancki sprawił sobie żakowską uciechę. Schiller nie myślał wcale o opoju i włóczędce; chciał tylko upostaciować rubasznosć igrającą ze słowami, a wielomówną. Publiczności Niemiec Północnych muszą te poprzyczepiane koncepta smakować; raczenie niemi publiczności naszej było nieprzyzwoitością.

Artystów wybitnych towarzystwo meiningeńskie nie posiada, ale artystów, których słuchać można, ma wielu; jest wierne hasło swemu: „całość przed jednostką.” Każdy, większy czy mniejszy, dostraja się do ogólnego tonu, stara się spłacić swój dług, przyczynić się do ogólnego dobra. Jest to orkiestra dobrze grająca, w której solistów szukać nie potrzeba. Co prawda, wyborna wystawa, maszyneryja, reżysseryja, doskonale poruszające się tłumy—obudzić mogą pożądaną wyższość też indywidualności artystycznych. Gdyby np. z tłumu grających wybijał się nowy Dawison jako Wallenstein, gdyby w tym tłumie zajaśniała Modrzejewska jako Tekla, zadowolenie byłoby wyższem, ale i to, jakie jest, wystarcza. Role główne przedstawiają się w ogóle jako wartości dodatnie. P. Hilmar Knorr nie zepsuł ogromnej a bardzo trudnej roli Wallensteina; p. Alexander Barthel, jako Max Piccolomini, za nadto wprawdzie krzyczał, ale krzyczał rozumnie; głosem jeszcze nie włada, ale włada charakterami, które przedstawia; ma wiele ognia,—a na scenie zapal zawsze lepszy od słamazarności;—w obu częściach wielkiego dramatu trzymał strój. P. Leopold Teller, (Buttler i Kapucyn w *Wallensteinie*, a Kassus w *Juliuszu Cezarze*) dowiódł rzetelnych zdolności scenicznych; jego Buttler nic nam do życzenia nie zostawił. P. Karol Weiser Brutusem i Illo'nem dobrze się zalecił. Na wyróżnienie również zasługuje p. Wilhelm Arndt, jako Isolani, wyborne utrzymany. Wszystko to są artyści wystający już nad poziom zwykłych *Utilitätsschauspieler*. P. Paweł Richard jako Cezar miał dobrą chwilę, kiedy postanawia iść do Senatu mimo wróżb i zaklęć; ale jako Piccolomini Ojciec nie oddał dobrze chytryści panującej w tym charakterze nikczemnym. P. Willy Felix potrzebowałby przetworzyć swą deklamacyą, tak ważną w roli Antoniusza. Z kobiet dwie tylko zwróciły na siebie uwagę: p. Emma Habelman, Tercka w *Wallensteinie*, i p. Olga Lorenz, Porcya, żona Brutusa, i Tekla, córka Wallensteina. Ostatnia ta rola zasługuje na zupełne uznanie.

Stanisław Krzemiński.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 2 Maja 1885 r.

Polityka i jej wpływ.—Wojna i krachy.—Likwidacya i koniec miesiąca.—Gielda i świat.—Śniadanie Minotaura paryżkiego.—Pastelliści i ich wystawa.—De Latour; jego portret Maryi Le-

przed mistrzem, nawet wtedy, gdy niecierpliwa dłoń płacze dźwięki w chaos fałszywych brzmień i zda się lekceważyć audytorium, ciskając mu na pożegnanie w rozszalałym tempie kaskadę dyssonansów? Tego, czegoby innemu artyście nieprzebaczono, tu nie śmie nikt nazwać nawet wybrykiem, a nie śmie i milczeniem pominąć, gdyż bądź co bądź doznało się wrażeń silnych i porwujących. Na strunach ducha—gra Rubinstein. Z określoną loiką rzecz-by można, przechodzi przez wszystkie stopnie uczuć i myśli, jakie nurtują, nie w jednostkach, ale w tłumach. Oddaje genialne pomysły w najdoskonalszej formie, za pośrednictwem techniki olbrzymiej, najpotężniejszej, na jaką tylko człowiek zdobyć się może; z niewieścią miękkością, z tęsknotą marzyciela, wypowiada uczucia smutne, rzewne, współbratnie wszystkim, co tęsknią i cierpią; w wir nieopatrzego szalu porywa za sobą, nie dbając o środki i sposoby, byle wywołać ekscytację, w chwili której leci się choćby w przepaść. Oto potęga gry Rubinstein'a, której nie odważa się nikt mierzyć suchym sądem krytycznym, potęga jego prawdziwego geniuszu polegająca na tem, że, będąc wyższym od innych wirtuozów, jest zarazem taki przystępny, taki właśnie ogólnoludzki. Przytem ma dziwny dar wnikiwania w epokę, w jakiej powstał utwór, który odtwarza; i tak: grając Mozarta, zdaje się rozlubowywać w jego naiwnej prostocie, i gardząc wówczas szarżą tegoczesną, z nieskażonym wdziękiem i spokojem oddaje te klasyczne klejnociki. Jako twórca, Rubinstein, w dziełach, które obecnie dał nam poznać, przewyższa również kompozytorów tegoczesnych płodnością myśli, których nie potrzebuje rozwlekać i nadrabiać spekulatywnymi efekcikami; temata jego mogłyby zasilić niejedną dzisiejszą utwór postny pod względem treści, co nie przeszkadza, iż tematy te są opracowane bogato i oryginalnie; tylko że słuchaczowi przedstawia się forma z treścią jednolicie, skończenie, jakby strój kunsztowny i szlachetny, przykrojony wybornie do pięknej postaci, i zasluchanego w muzykę nie bierze ochota do zastanowienia się nad kontrapunktyczną jej fakturą. Rzadka to była ucztą owe dwa występy Rubinstein'a, z których ostatni bezinteresowny, przyniósł materialne korzyści Instytutowi Muzycznemu.

Operę naszą, drzemającą po odjeździe panny Hermanówny i pani Dowiakowskiej, zbudziła do życia utalentowana artystka sceny lwowskiej, pani Arkłowa. Dawnośmy też nie słyszeli takiej Aidy i Afrykanki, które do najcelniejszych jej ról należą; głos sympatyczny, rozległy, metaliczny i zarazem łagodny w wyższym rejestrze, co jest dość rzadkim przymiotem u sopranów, szlachetna gra, piękna powierzchowność—wszystko to kazało się spodziewać, że nasza dyrekcja teatrów, nie dozwoliłi pani Arkłowej opuścić Warszawy bez stanowczego *engagement*. — tymczasem skończyło się podobno na projektach i kwiatach, które artystka obficie zbierała jako dowód uznania ze strony publiczności; a szkoda, nie tylko bowiem tracimy sposobność pozyskania wybornej śpiewaczki, tracimy coś więcej: a to artystyczny zapach, jaki podniecał innych naszych śpiewaków do szlachetnej rywalizacji i sprawiał, że całość oper granych z panią Arkłową wychodziła mniej słamazarnie, jak to za zwyczaj miewa miejsce. Może czekamy aż p. Arkłowa, która zapewne ma świetniejszą przed sobą przyszłość, wyrobi się na skończoną śpiewaczkę i zasłynie na scenach europejskich, a nas odwiedzać raczy w charakterze arcy-drogię gościa.

Ostatnimi pionierami koncertowej muzyki były wieczory Towarzystwa Muzycznego, w których przyjęli udział: panna Justyna Machwic, Barcewicz, oraz pan Birnbaum amator-śpiewak; nie będziemy się jednak przy nich zatrzymywać, bo stokroć żywsze zajęcie i uwagę naszą, zwrócił kompozytorski koncert p. Zygmunta Noskowskiego. Szliśmy nań z radosną nadzieją, że się rozwinię przed nami, wspaniała obraz działalności z lat kilku, i że radować się będziemy dzielnym twórczym zasobem, na jaki bezzaprzeczenia stał p. Noskowskiego. Tym razem jednak, usłyszeliśmy przeważnie już znane dzieła i oceniane poprzednio, tak, iż niewiele pozostaje do zazna-

czenia w dzisiejszej kronice, nie przynajmniej nowego, prócz żalu, że niepospolity rodzimy talent, stojący na podstawach głębokiej nauki i studyów, nie chce wypowiedzieć się znowu, jakim wielkiem wspaniałem dziełem, tej miary jak pierwsze dwie Symfonie i świetna uwertura „Morskie oko“. Czy nie szkoda rozpraszać talent na drobne utwory, w których, jego cała siła twórcza nie może się rozwinąć, które są tylko próbkami niepospolitej umiejętności, lecz nie mogą stanowić dostatecznych ram dla wielkich pomysłów? Wielu bowiem znajdzie się kompozytorów, którzy umiejętnie opracować potrafią swe niewielkie płody, a nie zdobędą się nigdy na szerszy polot myśli; ale nie jest to zadaniem p. Noskowskiego, którego stać na dzieła pomnikowe, trwałe i zdolne przemawiać piękną swą treścią, wówczas nawet, gdy zmieniają się artystyczne wymagania obecnej chwili.

Juliusz Stattler.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Maju 1885 r.

(Dokończenie).

Na dobroczynne też cele urządzoną została wystawa obrazów, stanowiąca obecnie *great attraction* naszego miasta. Właściciele pięknych obrazów zgodzili się na udzielenie swych skarbow miłosiernym przedsiębiorcom, którzy w salach pałacu hr. Zamoyskiego (dawniej hr. Działyńskich) urządzili doraźną galerję. Niezmordowany w służbie publicznej hr. Benselstjerna-Engeström wziął inicjatywę tej sprawy i głównie się przyłożył do jej pomyslnego przeprowadzenia. Choć nie wszyscy, co posiadają piękne rzeczy, do popisu stanęli, od razu jednak złożyła się bardzo piękna i okazała wystawa, licząca już około 300 numerów. Zapewne, zapał właścicieli tu i owdzie zbyt ślepo zawierzył autentyczności wielkich mistrzów; naprzykład czy nie zawiele trochę obrazów nazwiskiem Dürera? Zbyt śmiało nieraz podpisy budzą wątpliwość znawców, ale niemniej pełno tu jest rzeczy pięknych, a nawet bardzo pięknych. Bodaj pierwsze miejsce należy się portretowi małego królewicza, przypisanemu Tycyanowi, a pochodzącemu ze zbiorów Kórnickich hr. Wład. Zamoyskiego. Surowsi krytycy chcą w tem raczej poznawać pędzel Moronego, ale ogólnie i tradycyjnie obraz ten za dzieło Tycyana, i to jedno z lepszych, jest uważanym. Hr. August Cieszkowski dostarczył kilka cennych przedmiotów: Dürerowską *Ostatnią wieczerzę*, może nie samego mistrza, choć jego monogramem opatrzoną, ale niewątpliwie z jego epoki i szkoły; dalej przepyszny portret mężczyzny, Giorgionego, i kilka innych pięknych portretów. Do tej kategorii należy wcale niepospolity Denner, własność p. Agnieszki z Syrskich Baranowskiej, przedstawiający niemłodą już damę, w stroju epoki XVIII w. Hr. Engeström nie skąpo udzielił obrazów, z własnych zbiorów pochodzących; wymienimy zpośród nich bardzo piękne *Wnętrze kościoła*, Steenwycka. Ordynacya hr. Skórzewskich z Czerniejewa przysłała kilka cennych rzeczy; jeden z obrazów uderza oryginalną ramą starożytną, nasadzaną kosztownymi kamieniami. Do tego zbioru należy jeden z najciekawszych obrazów w Polsce, przedstawiający *Męczeństwo S-go Stanisława*, na drzewie malowany, i to po obu stronach. Obraz, ten znany z drzeworytów, sięga wysokiej starożytności,—może był społecznym kanonizacyi Świętego w XIII wieku. Z ćwiertowanych członków biskupa męczennika tryska krew obficie, w głębi orły sprawują straż nad świętymi szczątkami, fizygnomie oprawców wyraziste, stroje interesujące, koloryt świeży i jaskrawy. Wspomnijmy jeszcze Teniersów Łyskowskiego, Hondekoetera *Drób*; wreszcie obraz przedstawiający *Zdjęcie z Krzyża* z monogramem C. S. ze zbiorów hr. Sierakowskiego, kilka pię-

nych Kranachów, Wohlgemuthów, nakoniec włoskich i niemieckich mistrzów, domniemyanych lub autentycznych, ale w każdym razie godnych domysłowego przypisania ich pierwszorzędnym pędzłom: a będziemy mieli złożone w najogólniejszym zarysie świadectwo wartości tej zaimprovizowanej galerji. Oczywiście, wśród blisko dwustu obrazów znalazły się, i plewy, i zupełnie pospolite utwory; ale te przyczyniają się do lepszego jeszcze uwydatnienia rzetelnych zalet i prawdziwego piękna dzieł, pierwszej kategorii.

Obmyślono osobne miejsce i dla polskiej szkoły, dziś tak bogatej, a sięgającej tu Smuglewicza, Bacciarellego i Czechowicza. Oczywiście, króluje mistrz Matejko, obrazem małym, ale pełnym wdzięku: *Goworek z Leszkiem Białym*. Starzec sędziwy, z powagą w oku, rozwianą brodą, misternie oddanem futrem, obok pacholę, jak raz podobne do tych jasnowłosych niebożąt, co z za płotów zagród wieśniaczych ciekawie na przejezdnych spoglądają. Ten biały Leszek tak poczciwie, tak rodzimo wygląda, — dziecię słowiańskie, o płowej główce, jak łany zboża polskiego. Patrzy w opiekuna i kocha, i wierzy mu, a rozumie i myśli głęboko. Spokój i łagodność, obce tytanicznemu pędzlowi Matejki, cechują ten przedziwny obraz, własność p. Rogalińskiego. Bacciarelli promienieje wdziękiem, bijącym z jego delikatnych, powiewnych portretów. Oczywiście, nikt mu z nowoczesnych nie dorówna; gasną i tracą w tem sąsiedztwie niebezpiecznym portrety p. Marcellego Krajewskiego, którego *Czerkieska* lepiej nam się podoba od wystrojonych według mody ostatniej pań i panien, a nawet Włoszek i włościanek. Prym tu zawodzi Wielkopolanin, nie dość wśród swoich znany i uznany, hr. Stanisław Szembek. Wystawił on jedenaście własnego pędzla utworów, z których dwa premiiwane w Monachium; tym dwóm obszerniejsza należy się wzmianka. Najpierw Czerskies w białym stroju, o białą ścianę oparty; symfonia białości, szkopol najtrudniejszy w malarstwie, tu znakomicie zwyciężony. Smągła twarz, wysoka czarna barania czapka, rysują się ciemno na tej gąmnie białych cieniów, mistrzowsko oddanych. Drugi nagrodzony obraz, portret starca, doskonale uwydatnia sędziwość wiejskiej, spracowanej twarzy starego włościanina. Portret ojca artysty, w stroju polskim, pełen życia i barwności. Przesłiczne są też i mniejszych rozmiarów obrazki: *Góral, Ukrainka, Stara Wieśniaczka, Młoda kobieta*, wszystkie sympatyczne i wdzięczne. Mniej nam się podoba własny portret artysty, nieco konwencyonalny. Kilka ładnych Kossaków dzielniemi koźmi oko nęci, tracąc jednak w sąsiedztwie rumaków s. p. Piotra Michałowskiego, tak dalece np. w Anglii cenionych, że najmniejszy szkic tego amatora-artysty do wielkiej dojsz tam może ceny. Wszystkie niemal imiona polskich wybitniejszych malarzy, choć jaką drobnostką, są tu przedstawione. Rzeźba kilka zaledwie liczy numerów. Uderzyła mnie próbka robót z terra-cotty hr. Anny z Działyńskich Potockiej, utalentowanej założycielki rymańskich szkół i zakładów. Tu i owdzie znalazły się misterne z kości słoniowej wyroby. Powodzenie, jakie uwieńczyło zachody inicjatora i głównego organizatora tej wystawy, utwierdza nas w nadziei, iż niebawem do nowego popisu staną, nie już wyłącznie same tylko obrazy, ale i zabytki przeszłości, gęsto po domach i zakrytych rozsiane, jak: sprzęty, materye, naczynia, puhary, o których wartości nieraz właściciel nie ma pojęcia, kiedy właśnie ta część spuścizny przeszłości najwięcej światła rzucić może na stopień cywilizacyi, bogactwa i kultury każdej pojedynczej epoki dziejowej.

Podobna wystawa obrazów już raz w tem samym miejscu się znalazła, jeśli się nie mylimy, w r. 1867. Dzisiejsza atoli liczbą i doniosłością daleko za sobą zostawia swą poprzedniczkę. Wtedy zbiory rogalińskie dostarczyły wprawdzie kilku arcydzieł, nieobecnych teraz, ale zresztą nierównie mniej amatorów i kolekcjonistów odpowiedziało wówczas na wezwanie komitetu urządzającego. Tu jeszcze nadmienić musimy, iż podziwieniu godnym jest zmysł artystyczny i praktyczny zarazem, z jakim pomienioną wystawę dziś urządzono, skorzystawszy z każdego

promienia światła, tak, iż mimo nieodpowiednich warunków sali, bynajmniej na galerję nie przeznaczoną, względnie dobrze się wydają umiejscowione i rozwieszane obrazy.

Ubiegła zima, pod względem towarzyskim mało ożywiona, skąpa nie była w muzykalne przyjemności, nie dość może u nas cenione. Koncerta Bülowa, tego mistrza-fortepianisty, i orkiestry pierwszorzędnej, która z nim przybyła, były poniekąd apoteozą Beethovena, przeważnie jego arcydzieła oddając, a więc i symfonią *C Moll*, i uwerturę z „Fidelii”, i inne odgłosy tego potężnego geniuszu. Lecz i bez gościnnych występów przybywających zdala mistrzów harmonii, Poznań raz po raz zdobywa się własnymi siłami na odświeżenie czystego smaku i wznowienie klasycznych w muzyce tradycji. W tym roku odważono się nawet na interpretację wcale niezłą na trudniejszego arcydzieła Bacha, t. zw. *Passionsmusik*, obfitującą w rozdzierające i wspaniałe dźwięki. Ks. Surzyński w katedrze zapomniane odżywia pieśni, oczyszcza muzykę kościelną od świeckich naleciałości, i najczystsze utwory dobrego smaku przyswaja katedralnym chórom. Wpływ jego sięga na prowincję, za pomocą: specjalnego czasopisma, stowarzyszenia organistów i poparcia ze strony duchowieństwa, podającego chętną rękę do tak koniecznej i naglącej już reformy śpiewu kościelnego w Świątyniach Pańskich.

DROBNE LISTKI.

— **Właścicielka Krzyżkowic**, księżna Augusta Montleart, której śmierć wywiodła na jaw szerszej wiadomości liczne czyny szlachetne, zamieszkiwane przez siebie dobra kupiła w 1869 roku od rodziny Dobrzańskich. Wprowadzając się tam, spostrzegła na ścianie jednego z pokojów dworu olówkiem napisany czterowiersz, z niemieckiego poety Ferdynanda Raimund:

Zegnam ja cię, zegnam, domie ty mój drogi!
Wychodzę nieboga na rozstajne drogi;
Choćby mi najwyższy szczęścia los był dany,
Nie wrocę już więcej w ciche twoje ściany...

Smutne te słowa napisała żona dawnego posiadacza, p. Pelagia Dobrzańska; księżna przeczytawszy je ze wzruszeniem, napisu naruszyć nie dała przez cały czas posiadania Krzyżkowic, to jest przez lat 16, w którym to czasie dawna właścicielka straciła męża i kilkoro dzieci. Księżna umierając, zapisała ostatnią swą wolą osierociałej, sędziwej już teraz kobiecie, Krzyżkowice, a na ścianie pod owym żalosnym pożegnaniem dopisała:

Choć ci szczęścia żaden los nie został dany,
Powrócisz ty przecież w owe ciche ściany.

— **Portret Kossuta** na wystawie węgierskiej ma przywiązaną do siebie ciekawą legendę. Jest to pierwsza i jedyna podobizna wielkiego męża, który nigdy dotąd nie dał odtworzyć rysów swego oblicza, nawet najznakomitszym europejskim malarzom. Przeciwnie ten wstręt pokonała młoda jego współrodaczka, utalentowana malarka, Wilma Palaghy. Przybywszy do Turynu, gdzie Kos-

sut mieszka, i przedstawivszy mu się z prośbą której, jak innym, odmówił, uniosła się namiętnem rozżaleniem. Sędziwy patriota rozplakał się i ucałował głowę śmiałej dziewczyny, przystał na jej żądanie. Bawiła ona w Turynie kilka miesięcy i podobno portret jest wielce podobnym i pięknym dziełem sztuki. Koszut siwobrody, siedzi w kurulnym krześle i trzyma prawą rękę opartą na księdze praw węgierskich.

— **Jubileusz pieśni**. Sto lat upłynęło w dniu 7 Maja, jak Schiller napisał swoją wspaniałą piękną poezją „Das Lied an die Freude”. Było to w ważnej chwili jego życia, bo po świeżem zerwaniu z ukochaną kobietą, Małgorzatą Schwan. Dusza poety ciężko dotknięta, potrzebowała odosobnienia i spoczynku. Wyjechał z Mannheimu do Lipska, najął tam sobie małe mieszkanie, szukając ulgi na ból serca w towarzystwie przyjaciela, Körnera. Ten był wtedy narzeczony i miał wkrótce zaślubić Dorę Stock, córkę znakomitego stalorytnika. I druga siostra, Minna, była też narzeczona: wychodziła za muzyka, Ferdynanda Huber, i Körner nie tylko wprowadził przyjaciela w to grono ludzi szczęśliwych, ale pociągnął go do zamieszkania w ich pobliżu, w pięknej podmiejskiej wiosce Gohlis, dziś stanowiącej przedmieście Lipska. Natura się budziła. Maj rozwijał kwiaty, dwie pary kochających się ludzi dawały pocie widok swego szczęścia, i jednego wieczora powróciwszy do samotnej izdebki pod dachem, z kąd rozciągał się widok na kwitnące sady, powiedział sobie, że jednak życie może być pięknem, że choć on cierpi, niemniej szczęście i miłość prawdziwa istnieje na świecie i napisał *Pieśń do radości*. Studyjacy Schillera uważają, że z tą poezją otwiera się nowa (druga) epoka twórczości Schillera, najpełniejsza, najobfitsza w najwyższe piękności, liryzmu zwłaszcza, i ztąd stuletni jubileusz tego utworu, był uroczystie obchodzony. Dom, który jest własnością lipskiego „Schiller-Verein”, przedstawiło w drzeworycie według rysunku Rudolfa Cronau, lipskie czasopismo „Gartenlaube”. Ku okienku pod dachem, w szczytowej ścianie, zlatuje przybywających ptaszków rzesza — rzesza śpiewających tonów poezji.

— **Mac-Mahon** pisze pamiętniki, rozpoczynające się od czasu jego wejścia do wojska, a mające się ciągnąć aż do chwili opuszczenia służby publicznej. Aby mogły być najzupełniej szczere, marszałek zastrzegł sobie u rodziny, aby nawet po jego śmierci nie ukazały się w druku. Pisze je dla synów swoich.

— **Nędze i wielkości literackie**, świeżo wyszła jednotomowa książka Ulbacha, budzi w Paryżu żywe zainteresowanie.

— **Dwa nieznanne listy Voltaire'a** ukazały się w piśmie francuzkiem *Intermédiaire*. Pisane z Paryża do Ferney, zajmują się głównie przesyłką z jego biblioteki potrzebnych mu, a przeważnie do studyów językowych odnoszących się książek. Pisane dnia 7 i 10 Maja 1778 r., więc na kilkanaście dni przed śmiercią (d. 30 Maja), zaprzęta się podręcznikami do spokojnej i długiej pracy.

— **Piękny wiek postępu** przedstawia nasze stulecie, jak się wykazuje z tego, co pisarz francuzki Clarétie, ogłosił w dziennikach paryzkich na żądanie malarza Meissonier. Farby malarskie są dziś produkowane we Francji tak nieuczciwie, że malarstwu francuzkiemu z czasów obecnych grozi zagłada, bo przypuścić można, że pod działaniem czasu i światła, tak obrazy olejne, jak akwarelle zblakną, spełzną zupełnie, zmienią kolory i wszystkie dzieła dzisiejszej sztuki francuzkiej, staną się tylko jakimiś niewyraźnymi, mętnymi

cieniami. Meissonier żąda też, aby municypalność paryzka urządziła w ratuszu takie próbne laboratoria chemiczne, jak istniejące już dla rozbioru win i produktów spożywczych.

— **Paryzkie muzeum sztuki**, Pałac Luxemburski, otworzy wkrótce wspaniałe przerobione i rozszerzone sale i galerye. Pierwsze miejsce zajmuje tu przeogromna i przepyszna galerya rzeźb, oświecona z góry. Posągi stać będą czterema rzędami a płaskorzeźby zostaną zawieszane wzdłuż ścian. Bronzy zajmą zewnętrzny pod uchroną dachu. Olbrzymia sala i dziesięć salonów pomniejszych, przyjmą malowidła i rysunki, dalej iść będzie wspaniały salon starożytnych druków, urządzony lepiej i świetniej niż w Luwrze, niż w londyńskim British Museum. Galerya rzeźb stanowi przedłużenie oranżeryi. Z końcem Lipca już wszystko będzie wykończono i gotowe do przyjęcia zbiorów, dach szklany zaczęto już wznosić.

— **Pośmiertna opera** Wiktora Massé: „Noc Kleopatry”, została uznana za arcydzieło. Libretto, wspaniałego efektu, jest też dziełem pośmiertnym wielkiego, choć krótki czas twórczego poety, Juliusza Barbier, szlachetnego a gorącego naszego przyjaciela, republikanina dawniejszego tej szkoły typu.

— **W konserwatorium lipskiem** rozpoczęła się seryja dwunastu odczytów z historii muzyki. Prelegentem jest Dr Artur Helbig.

— **Pomnik Bacha** został odkryty w Cöthen, gdzie znakomity ten kompozytor żył i pracował długie lata.

Tom II-gi Wydania zbiorowego

PISM

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

(GABRYELLI)

Wyjdzie w tym miesiącu z druku, nakładem wydawcy „Bluszczu”. Prenumerata za całe wydanie, składać się mające z 5-ciu tomów, wynosi w Warszawie 5 rs. (można wnosić częściowo po 1 rs. co kwartał przy odbiorze tomn). Z przesyłką pocztą za tom liczy się 1 rs. 10 kop.; nadsyłający od razu prenumeratę na wszystkie 5 tomów, płacą tylko 5 rs.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 9-ty powieści pod tyt.: **Sieroca dola**, przez autorkę powieści *Silny duch*.

TREŚĆ. Towarzystwo opieki nad biednymi matkami i ich dziećmi, przez Maryą Ilnicką. — Czeczotka, Powieść z dawnych czasów, (dalszy ciąg), przez P. J. Bykowskiego. — Przegląd teatralny, przez St. Krzemińskiego. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Ruch muzyczny, przez Juliusza Stattlera. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań, (dokończenie). — **Drobne listki.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 9-ty powieści pod tytułem: **Sieroca dola**, przez autorkę „Silny duch”. — 49 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

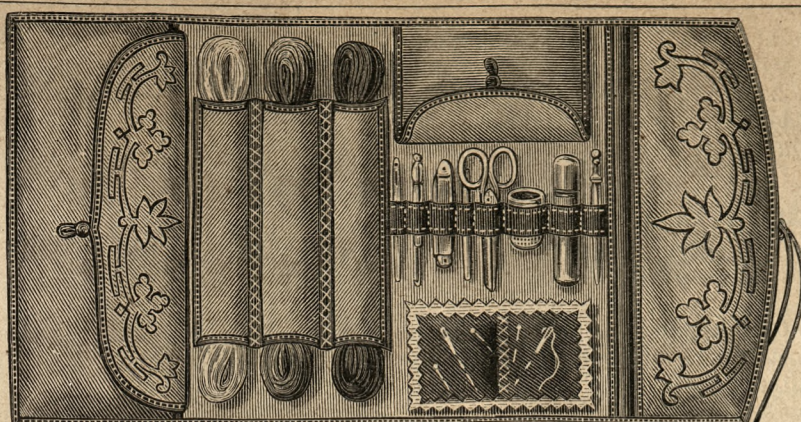
Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

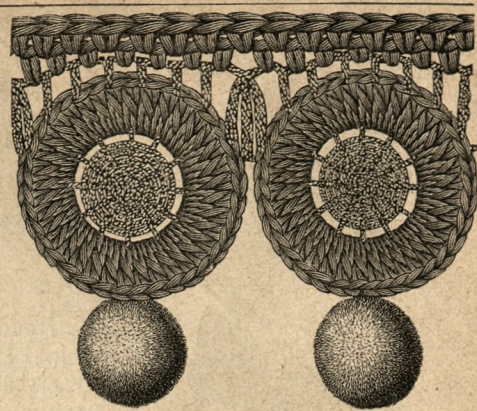
Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Мая 1885 года.



Nr 1. Frenzla do mebli, serwet i t. p. szydełkowa robota. $\frac{2}{3}$ wielkość naturalnej.



Nr 3. Podróżny necessaire do szycia. Rozłożony. (Do r. 12 w B. Nr 19). Wzór odw. str. tab. Nr IX, fig. 54 i 55.



Nr 2. Szlak do koszyczka ryc. 7 w Bl. Nr 19. $\frac{2}{3}$ wielkości naturalnej.

Serweta długa na stół do jedzenia krzyżowym ściegiem.

Rycina Nr 6

Serweta z żółtawego płótna, a otoczona szlakiem haftowanym różnobarwną bawełną, podług ryc. 23 w Bl. Nr 19, dalej szerokim obrębem, a w końcu koronką klockowej roboty.



Patarafka pod lampę.

Rycina Nr 7

Na patarafkę potrzeba 25 cent. duży kwadrat oliwkowego welwetu, na

Nr 4. Szlafroczek z kaszmiru. Plecy. (Do ryc. 28 w Bl. Nr 19).



Nr 6. Długa serweta na stół do jedzenia. (Do r. 23 w B. Nr 19).



Nr 5. Suknia z kanwowego materiału. Plecy. (Do ryc. 48).

haftem niebieską, pąsową, zieloną i cegląstą filozelą; żyłki i wąsiki odznaczają się złotym sznurkiem, a wszystkie deseńowe figury otaczają się wielokrotnie zwyczajnym pąsowym jedwabiem, który się przymocowuje poprzecznymi ściegami. Na ostatku dodaje się podszewkę i oszywa patarafkę w koło frenzla.

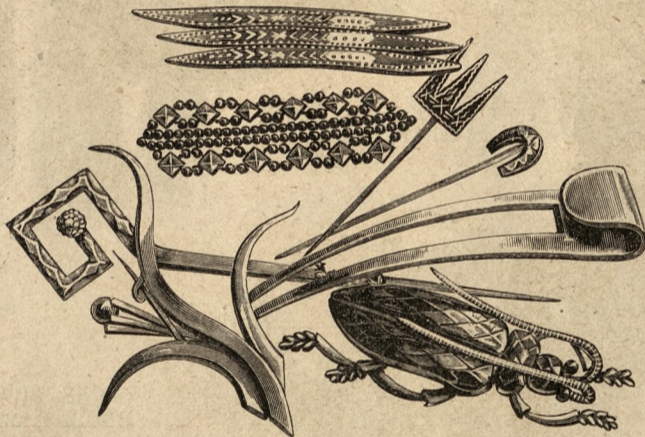
Agrafki i śpilki do przybrania kapeluszy.

Rycina Nr 9 do 17.

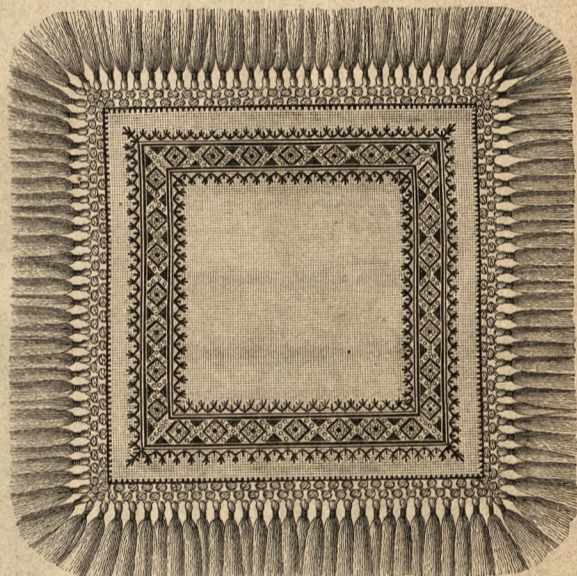
Agrafki i śpilki zrobione z bronzu i dżetu, przedstawione w połowie natu-



Nr 7. Patarafka pod lampę aplikacja i płaskim haftem. (Do ryc. 14 w Bl. Nr 19).



Nr 9—17. Agrafki i śpilki do kapeluszy.



Nr 8. Serweta płaskim, supełkowym, dziegany i Holbeina ściegiem, oraz robota wiazana. (Do ryc. 37 i 40).

który przynieść trzeba desen i podszyć go podwójną sztywną merlą. Figury aplikacji wykrawają z jasno-oliwkowego atlasu podklejonego papierem, nalepia się je na tło patarafki, otacza złotym, oraz ciemno-pąsowym jedwabnym sznurkiem, który przymocowuje się poprzecznymi ściegami; następnie figury zapełnia się



Nr 18. Szlak na serwet. (Do ryc. 46 i 47).

ralnej wielkości, służą do przybrania kapeluszy.

Kapelusz z brukselskiej słomy.

Rycina Nr 23

Z przodu wysoko podniesione rondko tego kapelusza zrobione ze słomki koloru palonej cegły i objęte szlaczkiem ze słomki naturalnego koloru, podszyte gładko akksamitem

piaskowego koloru. Z lewej strony kapelusz przybrany skosnym, suto ufałdowanym aksamitem, z prawej puklami z tegoż aksamitu i agrafką, z przodu zaś bukietem z ciemnych liści, białych i żółtych kwiatków. Do wiązania służą wstążki słomkowego koloru.

Kapelusz z angielskiej słomki.

Rycina Nr 24 i 31

Rondko tego kapelusza zrobione jest ze słomki koloru tabaki, pokryte ciemno-zielonym aksamitem i podszyte 1 1/2 cent. szerokim paskiem tegoż aksamitu, oprócz tego trzeba zrobić z tyłu kapelusza 3 1/2 cent. szeroką aksamitną plisę. Szlak haftowany na tiulu (ryc. 31) złotymi niemi i przybrany słomkowymi supelkami, zakrywa przyszyte aksamitu na rondku. Z przodu bukiet z drobnych kwiatków z ciemnymi liśćmi. Do wiązania służą 6 cent. szerokie wstążki koloru tabaczkowego.

Suknia z woaliny w deseń.

Rycina Nr 25 i 27

Spódnica tej sukni pokryta jest równymi brytami woaliny, zmarszczonemi u góry i wszytymi w pasek rżem ze spódnicy. Stanik również mar-



Nr 19. Żabot z pasków haftowanych i koronki. Opis pier. str. tabl.

Nr 21. Paltocik z wełnianego materiału w prażki. Krój i opis odwr. str. tabl. VII, fig. 44-52.



Nr 23. Kapelusz z brukselskiej słomki.



Nr 25. Suknia z woaliny w rzucik. Plecy. (Do ryc. 27).

Nr 26. Suknia z wełnianego materiału. Opis pier. str. tabl.

Nr 27. Suknia z woaliny w rzucik. Prząd. (Do ryc. 25).

szczony, ze stojącym kołnierzykiem i mankietami z gładkiej woaliny. Pasek i duża kokarda z satin-merveilleux dopełniają sukni.

Czepeczek z koronki „lama“.

Rycina Nr 28.

Ubranko to zrobione jest bez podstawki z ko-



Nr 29. Kapelusz z tiulu i koronki. Tył (Do ryc. 28).

się ubranko i przystraja się z przodu trzema sutemi pęczkami pukielków.

Kapelusz z tiulu i koronki.

Rycina Nr 29 i 30.

Fasonik tego kapelusza zrobiony jest ze sztywnego tiulu i objęty drutem; główkę ma wysoką spiczastą, a rondko z lewej strony rozcięte. Z wierzchu cały kapelusz, a ze spodu całe rondko pokrywa się najpierw czarną krepą, następnie tiulem i otacza się grubym sznurem z perełek. Cała główka pokryta naszytym perełkami marszczonym tiulem, a rondko uplisowaną koronką; pod rondkiem przy połączeniu go z główką podszycie z lekką przewiniętą wstążką repsową „ottoman“, która kończy się kokardką w przecięciu rondka z lewej strony, z tyłu konce tej wstążki puszczone są wolno i służą do wiązania pod brodą. Przybranie stanowi duża kokarda z aksamitnej wstążki i bukiet z rezyd i ciemnych liści.

Suknia z wełnianego materiału ze szlakiem.

Rycina Nr 32.

Z lewego boku tej sukni wstawiony jest 50 cent. szeroki kawałek aksamitu, a cała suknia pokryta trzema wolantami oszytymi szlakiem. Każdy wolant osobno zasnurowany jest jedwabnym sznurem zakończonym kwastami. Tiunika z lewej strony wyso-

Nr 20. Żabot z koronki i wstążki. Opis pier. str. tabl.



Nr 24. Kapelusz z angielskiej słomki.



Nr 22. Okrycie wełniane. Plecy. (Do r. 1 w B. Nr 19).

Nr 32. Suknia wełniana przybrana szlakiem.

Nr 33. Zaczupka z repsu „ottoman“ wyszyta perełkami. Krój i opis pier. str. tabl. Nr III, fig. 21-24.

Nr 34. Suknia z wełnianego materiału. Prząd. (Do ryc. 24).

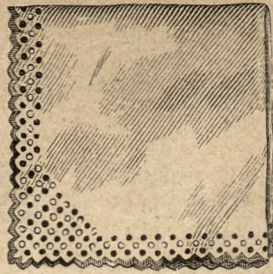
Nr 30. Kapelusz z tiulu i koronki. Prząd. (Do ryc. 29).

Prząd.

Nr 34 i 35. Okrycie z angielskiego wełnianego materiału. Plecy. Krój i opis pier. str. tabl. Nr I, fig. 1-9.

Plecy.

ko podpięta, z prawej ułożona w fałdy skierowane ku górze, z tyłu wgląd ko spadające na dół. Stanik z fałdowanym karczkiem zplisowaną kamizelką, oraz ranwersami i kołnierzykiem ze szlaku.

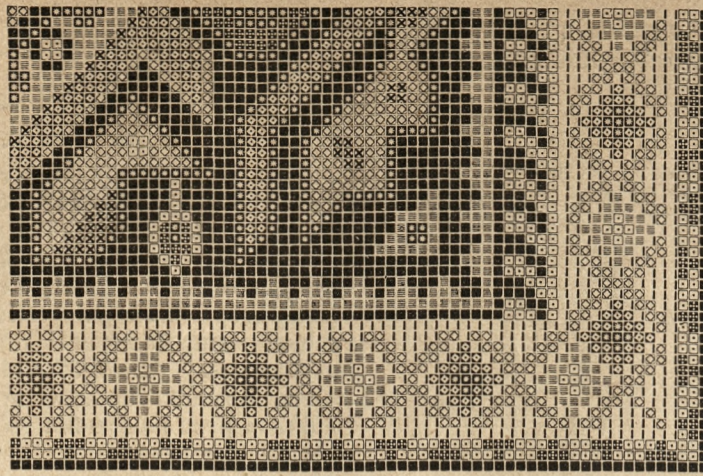


Nr 36. Chustka batystowa z kolorowym baftem.

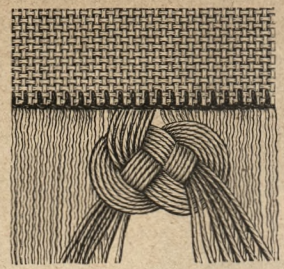
Chusteczka batystowa haftowana.

Rycina Nr 37.

Chusteczka 35 cent. w kwadrat, otoczona ząbkami ścięciem langietkowym, jedwa-



■ ciemno-brązowy, ■ ciemno-niebieski, ■ jasno-niebieski, * pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaś.) pasowy, ' ceglasty, ■ oliwkowy, ■ brązowo-brun.
Nr 38 Czwarta część wzoru do r. 15 w B. Nr 19.



Nr 37. Wykonanie węzła „Józefiny” do ryc. 8.

lekkie, soli, następnie macza w rozbitym jajku i tartej bułce wymieszanej z mąką i smarzą na młodej maśle. Smakuje lepiej od smacznych kurcząt.

Drugim sposobem, zawsze używając tylko udek, po nasoleniu na kwadrans przedtem, włożyć je w rondel w rozpuszczone gorące, ale nie rumiane masło, podduśić pod pokrywą 10 minut, podlać bulionem, zaprawić odrobiną mąki z masłem, zacisnąć cytryną i razem podawać.



N. 39. Część haftu do torebki ryc. 13 w Blu. Nr 18. Wielkość naturalna.

Obiad na Niedziele.

1. Rosół z frączkami kluskami.
2. Sztukamięsa biała z szczypiorkowym sosem.
3. Omlet ze szpinakiem.
4. Kurczęta ze smietaną.
5. Krem kawowy.

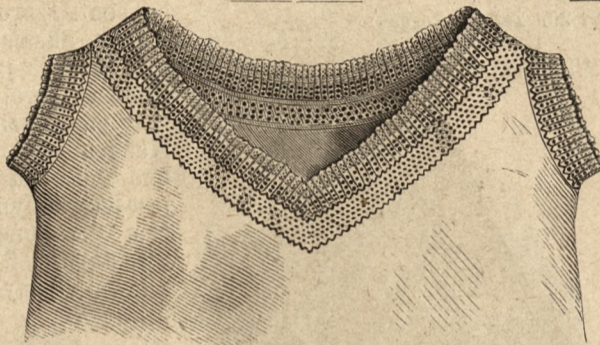


Nr 40. Szlak do serwety ryc. 8. Wielkość naturalna.

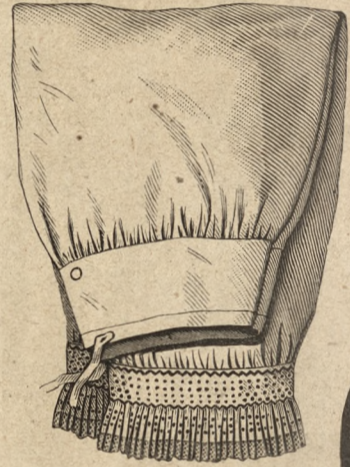
biem pasowym, niebieskim i jednym z modnych kolorów; na d ząbkami znajdują się muszki haftowane płaskim ścięciem.



Nr 42. Kołnierzyk z koronki i złotej gazy. Opis odwr. str. tabl.



Nr 41. Koszula damska. (Do r. 21 i 22 w B Nr 19). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 53



Nr 43. Majtki damskie. (Do r. 21 i 22 w B. Nr 19). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25 i 26.

Doświadczenia gospodarskie.

1. Pół łyżeczki dwuwęglanu sody sproszkowanej dosypanej do rozczy- nu z garnca mąki (naturalnie z drożdżami) pomaga



Nr 44. Suknia z kanwowego materiału. Plecy. (Do r. 23 w B Nr 19)



Nr 45. Suknia z płótna i koronki „lama”. Plecy. (Do r. 29 w B. Nr 19)

Przepisy gospodarskie

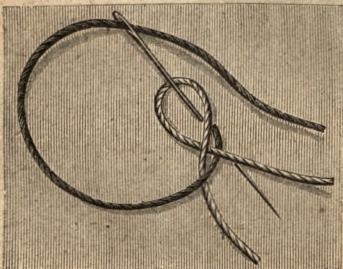
Żabki młode dla słabych żołądków.

Żaby w ogóle są bardzo strawnym pożywieniem, a więc przyrządza się je dla słabych. Po obciągnięciu ze skóry, wyrzyna się same udka, płócze

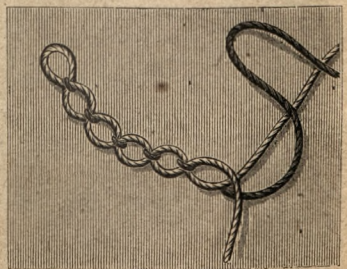
nietylko do wzięcia ciasta, ale czyni go smaczniejszym. 2. Do twardego mięsa, jarzyn lub owoców, trudno się gotujących, także dosypać małą ilość sody, która pomaga do przyswajania ugotowania.

L. C

Tablica krojów dołączoną była do N-ru 19.



Nr 46. Pierwszy szczegół do ryc. 18 Powiększony



Nr 47. Drugi szczegół do r. 18. Powiększony.

Nr 48. Suknia z kanwowego materiału. Przód. (Do ryc. 5. Opis odwr. str. tabl.

Nr 49. Suknia z bizonu. Opis odwr. str. tabl.